Ciocia Jadzia (1916-1994)

Zygmunt Wojski *(Wrocław)*

Zygmunt Wojski urodzony 30 lipca 1941 roku w Skierniewicach. W latach 1941-1966 mieszkał przy ulicy Łowickiej 105 w Skierniewicach. W latach późniejszych objechał służbowo, jako romanista-iberysta, całą Amerykę Łacińską, Hiszpanię, Francję, Rumunię, Niemcy i Portugalię. W magazynie „Culture Avenue" można przeczytać wspomnienia z tych podróży w cyklu **„Ameryka Łacińska, Hiszpania, Portugalia, Francja i Niemcy oczami polskiego iberysty"**.

Była jedną z trzech córek leśniczego Poborca i całe dzieciństwo spędziła w Puszczy Bolimowskiej w leśniczówkach i gajówkach. W Budach Grabskich mieszkała w pobliżu domu dziadków Janusza Reszki i opowiadała mi, jak to dziadek Janusza wołał do swojej żony: „Beniu! Lis kury dusi!" Znała i kochała Puszczę Bolimowską, jak mało kto. Była urodziwą kobietą. Poznała brata mojej Mamy, Zygmunta Łazęckiego (1915-1942) i pobrali się.

Zanim został wykończony ich drewniany domek pod samym lasem wujek Zygmunt zaangażował się do partyzantki i działał na terenie powiatu skierniewickiego, między innymi we wsi Mokra Lewa, skąd pochodził jego kolega z partyzantki, niejaki Baran. Wiem, że roznosili ulotki antyniemieckie.

Babcia Łazęcka, matka wuja Zygmunta, nie była zadowolona z tej jego działalności i często zwracała mu uwagę na niebezpieczeństwo, jakie mu grozi ze strony wroga. Wuj Zygmunt odpowiadał na to jednym zdaniem: „Pilnujcie swoich garnków!”

Któregoś dnia na podwórku dziadków Łazęckich na Starbacisze pojawił się typowy niemiecki motocykl z przyczepą. Byli to oficer niemiecki i jego tłumacz, który pytał babcię o wuja Zygmunta. Babcia odpowiadała, że nie wie, gdzie on może być. Wówczas zagrożono jej, że zabiorą w takim razie jego młodszego brata Tadeusza. W końcu ustalono, że wuj Tadeusz pojedzie z nimi tam, gdzie w istocie przebywał wuj Zygmunt, a było to pod samym lasem, na miejscu budowy domu, w którym potem mieszkała Ciocia Jadzia z synem Wiesławem, o rok starszym ode mnie. Zabrali wuja Zygmunta, który początkowo przebywał w więzieniu na Pawiaku, a potem, aż do tragicznej śmierci, w Oświęcimiu.

Rozpacz babci i Cioci Jadzi była ogromna. Ciocia Jadzia, ilekroć

wspominała te wydarzenia, zawsze płakała. Po zamordowaniu wuja Zygmunta władze obozu śmierci w Oświęcimiu wysłały do Cioci telegram w języku niemieckim treści następującej: „Ihr Ehemann ist gestorben” (Pani mąż zmarł). Ciocia pokazywała mi ten telegram. Aby zrozumieć jego treść poszła do biura notarialnego na ulicy Lelewela w Skierniewicach, gdzie znajoma notariuszka przetłumaczyła jej na polski tę straszną wiadomość. Można sobie łatwo wyobrazić, jak zrozpaczona była cała rodzina Łazęckich. Ciocia Jadzia jeździła jeszcze na Pawiak po odbiór ubrania wuja Zygmunta, co było kolejnym strasznym dla niej przeżyciem.

Przez całe życie Ciocia Jadzia pracowała jako sklepowa, także na Mokrej Prawej, dokąd jeździła na rowerze deszcz nie deszcz, wiatr nie wiatr, błotnistą polną drogą od lasu aż do wsi. Droga ta ma ponad kilometr długości. Klientela Cioci Jadzi zawsze miała o niej bardzo pozytywną opinię. Miała też szerokie znajomości wśród okolicznej ludności. W okropnym roku 1981, kiedy nawet herbaty nie można było kupić, na rowerach pojechaliśmy oboje z Ciocią do sklepu na Borowinach. Droga do tej przepięknej mazowieckiej wsi na skraju Puszczy Bolimowskiej wiedzie cały czas przez las. Ku naszemu zaskoczeniu w tak zwanym wówczas sklepie „Samopomocy Chłopskiej” na Borowinach półki się uginały pod paczkami różnorakiej herbaty. Wypełniłem nią cały mój plecak i miałem zapas na cały rok. Nie udałoby się to, gdyby nie fakt, że sprzedawczynią w tym sklepie była dobra znajoma

Cioci Jadzi. Gdy opowiadałem o tej wyprawie moim znajomym w Argentynie, nie mogli pojąć dlaczego po zwykłą herbatę trzeba było jechać na rowerze przez las i robić takie zapasy. No, ale ludzie w Argentynie jeszcze nie wiedzą, co to jest taki prawdziwy „fest” komunizm!!!



Jadwiga i Zygmunt Łazęccy, fot. arch. autora



Jadwiga z Poborców Łazęcka, fot. arch. autora

*

Moje wizyty u niezwykle gościnnej Cioci Jadzi zaczęły się, gdy byłem w ostatnich klasach szkoły powszechnej, bo wtedy właśnie pojawiły się w naszym gospodarstwie dwie krowy, które wypędzaliśmy na nasze pole aż na skraj Puszczy Bolimowskiej, czyli od naszego domu na ulicy Łowickiej blisko 3 kilometry. Domek Cioci Jadzi był od naszego pola bardzo blisko. W latach

80. jeździłem z Ciocią na rowerze do lasu na jagody. Podczas takiego zbierania przy pięknej, niemal upalnej pogodzie oboje śpiewaliśmy piosenki. Okazało się, że Ciocia pamiętała na przykład piosenkę „Kukułeczka” ze słowami Marii Konopnickiej i muzyką Zygmunta Noskowskiego („Po tym ciemnym boru kukułeczka kuka,/ z ranka do wieczora gniazdka sobie szuka”).

W tymże okresie zacząłem uczyć we Wrocławiu języka portugalskiego. Pewnego dnia, leżąc na leżaku u Cioci na podwórku, jąłem śpiewać po portugalsku brazylijski marsz karnawałowy z repertuaru Nary Leão, pod tytułem „A banda” (Orkiestra). Przechodząca właśnie obok mnie Ciocia rzekła: „Wiesz co, Zygmuś, to znakomita muzyka do tańca. Fajnie by się tańczyło przy takiej muzyce!”

Innym razem podczas mojej wizyty zjawiła się u Cioci jej kuzynka, Fredzia Mildowa w towarzystwie warszawianki, która podawała się za śpiewaczkę operetkową. Więc ja natychmiast poprosiłem ją, by coś koniecznie zaśpiewała. Najpierw tłumaczyła się, że jest nieco zachrypnięta, bo za długo moczyła nogi w zimnej wodzie Rawki. Aliści ja mam, nie chwaląc się, dość obszerny repertuar operetkowy i gdy śpiewając najpierw sam kilka melodii doszedłem do „Arii Adeli” z „Zemsty nietoperza” *(Ja się śmieję ha, ha, ha)* pani warszawianka nie wytrzymała. Nasz śpiew rozlegał się szeroko i daleko po okolicy. Spłoszona nieco tym naszym występem Ciocia wyszła ze swego letniego

mieszkanka, gdzie coś pitrasiła i rzekła ostrzegawczo: „Zygmuś, ciszej trochę, bo zaraz tu zbiegną się ludzie, aby sprawdzić, co się dzieje!”

Na zakończenie było tango, już w letniej kuchence. Porwałem do tańca panią Fredzię, ale jej pies, sądząc, że mam wobec niej niezbyt dobre zamiary, jął na mnie skakać i niemal gryźć. Było bardzo wesoło u mojej niezapomnianej chrzestnej Cioci Jadzi, osoby szlachetnej, gościnnej ogromnie, niezdolnej w żadnej sytuacji do najmniejszej złośliwości wobec innych. Świeć Panie nad Jej duszą!

Zobacz też:

> Trzy młyny nad rzeką Łupią

Trzy młyny nad rzeką Łupią



Arkadia nad rzeką Łupią

Zygmunt Wojski *(Wrocław)*

Najbliżej naszego domu na ulicy Łowickiej 105 w Skierniewicach znajdował się młyn pana Tadeusza Cieplińskiego. Schodziło się z górki od ulicy Łowickiej i zaraz po przeciwnej stronie rzeki Łupi stał i nadal stoi pokaźny budynek z czerwonej cegły, To właśnie ten młyn, do którego droga wiodła przez drewniany most. Pod mostem upust, a od strony miasta spiętrzona, dość głęboka woda, ulubione kąpielisko w upalne dni. Kilkakrotnie na sankach woziłem do tego młyna worki ze zbożem do zmielenia na śrutę i mąkę. Gdy spadł śnieg, zjeżdżaliśmy z dwóch dość spadzistych górek na sankach.

Państwo Cieplińscy z trojgiem dzieci mieszkali w pomalowanym na niebiesko drewnianym domu stojącym na górce, powyżej młyna. Cezary, zwany Czarkiem, był rok starszy ode mnie i chodziliśmy do jednej klasy w liceum. Dość często spotykaliśmy się w drodze do szkoły i wracaliśmy razem. Kilka razy towarzyszył mi, gdy wypędzałem krowy na pastwisko na skraju Puszczy Bolimowskiej, a raz obaj na próżno szukaliśmy po lesie owoców jarzębiny dla pani prof. Drozdowej, naszej wspaniałej polonistki w liceum. Zachwyciła mnie jego pasja do mieszkania latem w namiocie pośrodku wykoszonego owsa, tuż koło młyna. Odwiedziłem tam kiedyś Czarka, który rozpalił ognisko przed namiotem. W pewnym momencie z owsa wyszedł w naszym kierunku zając. Natychmiast zawrócił, a Czarek zanurzył w owsie rękę i złapał go za uszy. Matka Czarka, pani Janina Cieplińska, przynosiła mu do namiotu jedzenie i pewno

przyrządziła mu także tego zająca na następny dzień.



Młyn Tadeusza Cieplińskiego w Skierniewicach przy ul. Ławki

Danusia, siostra Czarka, była od niego dwa lata młodsza. W liceum chodziła do jednej klasy z moją siostrą. Ambicją pani Cieplińskiej było zapewnić dziewczętom (Alina była kilka lat młodsza od Danusi) naukę gry na pianinie. Ja kupowałem regularnie w czasie nauki w liceum „Mozaikę Francuską", znakomicie redagowane pismo do nauki języka francuskiego. Najbardziej interesowały mnie zamieszczane tam piosenki wraz z nutami. Któregoś razu pojawiła się w „Mozaice" nieznana mi wówczas piosenka „La mer" (Morze), z repertuaru Charlesa Treneta. Pobiegłem do Danusi z wielką prośbą, aby zagrała mi ją na pianinie. I proszę sobie wyobrazić, że dzięki Danusi

nauczyłem się wybornie tej piosenki! Nagranie z 1968 roku:

Pan Tadeusz Ciepliński został właścicielem młyna najprawdopodobniej dopiero po II Wojnie Światowej. Przedtem był to młyn pana Mońki. Gdy byłem pierwszy raz w Argentynie w roku 1973, odwiedziłem mojego wuja, Stanisława Łazęckiego, rodzonego brata matki. Opowiadałem mu o tym młynie podając nazwisko pana Cieplińskiego jako właściciela. Na co wujek: – *Jak to? Przecież to Mońko jest właścicielem!* Niestety, na temat pana Mońki nic nie potrafiłem mu powiedzieć.

Między domami nr 73 i 75 przy ulicy Łowickiej stoi murowana kapliczka. Dawniej z lewej strony tej kapliczki odchodziła od ulicy tak zwana „Górna Droga", która wijąc się wśród pól wiodła do wszystkich trzech młynów: Cieplińskiego, Frączkowskiego (to już na Mokrej Prawej) i Godosa na Sierakowicach. Najpiękniejsza z dróg mojego dzieciństwa. Opisałem ją dokładnie w moich wspomnieniach opublikowanych w „Głosie Skierniewic i Okolicy" w latach 1998-1999. Biegła mniej więcej równolegle do nurtu rzeki Łupi wspinając się na niewysokie wzgórza wśród pól. Z obu jej stron, zarówno w zbożu, jak i na brzegach drogi, rosły całe łany barwnych, kolorowych kwiatów.



Dwór w Trzciannie

W pewnym momencie nagły skręt w lewo obok starego pnia, na którym mała kapliczka i dość łagodne zejście do rzeki. Jesteśmy teraz we wsi Mokra. Po lewej piękny dworek mieszkalny i duży ogród kwiatowy, a dalej, po prawej, tuż przed drewnianym wówczas mostem, drewniany młyn pana Frączkowskiego. Na placu przed młynem zawsze stało kilka furmanek z workami zboża lub mąki. W odróżnieniu od młyna Cieplińskiego tu zawsze panował ruch. Po lewej stronie mostu głęboki spiętrzony „staw”. Pod mostem stawidła i upust. Budynek młyna od dawna nie istnieje.



Młyn Godosa w Sierakowicach Lewych



Młyn Godosa w Sierakowicach Lewych

Wiem, że państwo Frączkowscy mieli kilku synów, z których najmłodszy, w moim wieku, miał na imię Tonio. „Górna Droga” prowadzi dalej przez pola aż do młyna Godosa w Sierakowicach Lewych, którego historię pani Małgosia Lipska-Szpunar z Centrum Kultury i Sztuki w Skierniewicach tak doskonale i szczegółowo opisała, że nic dodać nic ująć. Gdy chodzi o mnie, do młyna Godosa wypuszczałem się głównie na rowerze, a raz nawet na nartach, a to ze względu na znaczną odległość od mojego domu. Myślę, że to przynajmniej 5 km. Jak na wędrówkę pieszą trochę za daleko. Teraz, gdy opisuję te trzy młyny, przychodzi mi do głowy, że do „Górnej Drogi” najlepiej pasowałaby nazwa „Droga Trzech Młynów”.



Willa Kozłowskich w Skierniewicach

Zródła fotografii:

- Centrum Kultury i Sztuki w Skierniewicach i Akademia Twórczości,
- Bikestats Meteor 2017 (relacje z wycieczek rowerowych po powiecie skierniewickim),
- Mapa turystyczna województwa łódzkiego w aplikacji Traseo.

Zygmunt Wojski urodzony 30 lipca 1941 roku w Skierniewicach. W latach 1941-1966 mieszkał przy ulicy Łowickiej 105 w Skierniewicach. W latach późniejszych objechał służbowo, jako romanista-iberysta, całą Amerykę Łacińską, Hiszpanię, Francję, Rumunię, Niemcy i Portugalię. W magazynie

„Culture Avenue” można przeczytać wspomnienia z tych podróży w cyklu **„Ameryka Łacińska, Hiszpania, Portugalia, Francja i Niemcy oczami polskiego iberysty”**.

> Wyspy Zielonego Przylądka, 2006. Część I.

> Wyspy Zielonego Przylądka, 2006. Część II.